



Napisał: Krzysztof Kochański

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Nastaly wreszcie czasy, gdy maszyny zastąpiły człowieka niemal we wszystkim. Pojawiły się maszyny budujące i burzące, maszyny do ratowania życia i do zabijania, maszyny do rozrywki i przysparzające kłopotów, maszyny do pracy i leniuchowania, do rządzenia i do wykonywania poleceń, do rodzenia dzieci i karania dorosłych. Maszyny chodzące, jeżdżące, latające, pływające, i sam diabeł wie, jakie jeszcze; automaty do wszystkiego, nawet do myślenia.

Nawet do magii...

Człowiek siedzący przed Maszyną miał na twarzy wypieki, świadczące o emocjonalnym podejściu do tematu.

– Jestem Siles Syndoman – powiedział. – Rejestrowałem się przed trzema miesiącami.

Maszyna w ciągu mikrosekundy przetrzymała kartotekę wylawiając właściwy formularz.

– Proszę określić cel wizyty – padło polecenie. – Powyższe jest konieczne do potwierdzenia zgodności danych.

Syndoman spotniałą dłonią rozluźnił krawat.

- Chodzi o rzucenie uroków...
- Krctność?
- Trzy uroki.
- Dziękuję, dane zgodne. Proszę o zgłoszenie gotowości do udzielenia odpowiedzi na pytania.
- Jestem gotów.
- Zna pan etykietę?
- Tak. Zapoznałem się z przewodnikiem...
- Odpowiedzi muszą być zwięzłe, każda sekunda mojej pracy kosztuje.
- Tak.
- Jaki ma być charakter uroków?
- Śmiertelne.
- Trzy razy?
- Tak.
- Zna pan cenę?
- Tak.
- Jest pan wypłacalny?
- Tak.
- Co grozi za niewypłacalność?
- Śmierć.
- Czyja?
- Osoby niewypłacalnej... Moja.
- Jaki ma być zasięg czasowy uroków?
- Natychmiastowy.
- Zna pan cenę usług ekspresowych?
- Tak.
- Co grozi za niewypłacalność?
- Grozi mi śmierć.
- Ma pan jakieś dodatkowe życzenia?
- Nie.
- Dziękuję, koniec pytań. Proszę przygotować się. Stawiam kabałę...

Siles Syndoman poruszył się niespokojnie, gdy Maszyna wysunęła ze swego wnętrza cztery karty. Cztery walety, każdy innego karcianego koloru. Utrzymywane polem siłowym zawisły w powietrzu.

- Proszę skoncentrować swoją uwagę na jednej z kart - rzekła Maszyna. - Utożsamiając rysunek z osobą fizyczną, proszę nie tłumić swoich uczuć. Im silniejsza będzie nienawiść, tym łatwiejsze okaże się wzmocnienie sygnału i w konsekwencji większa precyzja uroku. Przy dobrej współpracy obniżamy wysokość rachunku za usługę - współczynnikiem korygującym.

Spojrzenie Syndomana spoczęło na

treflowym walecie. Zdumiewała go łańcuchowość, z jaką w prostych kreskach rysunku odnalazł rysy twarzy Joe Coperna.

\*

Joe Copern, ubrany w nabity pianką kombinezon, stał w otwartych drzwiach szkoleniowego samolotu. Znajdował się na wysokości dwóch tysięcy stóp, skąd powierzchnia Ziemi wyglądała malowniczo i pociągająco. Na głowie miał ochronny kask, na plecach zwinięty sportowy spadochron do lotów akrobatycznych.

Skontrolował rutynowo prędkość wiatru, odszukał wzrokiem odległy cel, wciągnął głęboki haust powietrza i skoczył. Rozpoczął odliczanie sekund.

Trzy.

Przekreślił ciało, rozłożył szeroko ramiona i lecąc swobodnie, upajał się pozornym stanem nieważkości. Pęd powietrza targał wiatrem kombinezon i był to jedyny sygnał pokonywania przestrzeni; w dole ziemia rozpościerała się nieruchomo, obojętna na zbliżanie się człowieka.

Pięć.

Naraz poczuł silny niepokój. Próbował go zbagatelizować, gdy nagle zdał sobie sprawę, że to już nie niepokój, lecz strach. Strach niczym nie uzasadniony, bo wszystko przebiegało jak setki razy przedtem. Nie wytrzymał tej presji i zerwał pętlę zabezpieczającą spadochron.

Szarpnięcia nie było.

Spadał nadal ruchem jednostajnie przyspieszonym, a za jego plecami ciągnęła się płatanina linek i szmaty, która w założeniu winna była rozłożyć się w spadochronową czaszę... Ale nie rozłożyła się.

Odszukał nerwowo sznurek rezerwowe go spadochronu i pociągnął z nieludzką siłą, mogącą spowodować otwarcie nie jednego, lecz stu nawet spadochronów. To co stało się później, a raczej co się nie stało, było spełnieniem prawdopodobieństwa zdarzenia określanego lapidarnie: raz na sto tysięcy.

\*

Walet treflowy spadł na podłogę. Trzy pozostałe karty tkwiły nieruchomo przed

twarzą Silesa Syndomana, kierującego właśnie uwagę na jedną z nich.

\*

Paul Bladet jechał krętą górską szosą, będąc w nastroju, który śmiało można określić jako dobry. Lubił góry, lubił wakacje, lubił jazdę samochodem i wszystko to dzisiaj miał. Rytmiczna muzyka z radia kusić mogła do zwiększenia prędkości jazdy, ale Bladet był z natury flegmatycznym człowiekiem i nie wzruszały go tego rodzaju emocje.

W pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, poczuł się nieswojo. Rosło w nim napięcie, które za chwilę stało się tak silne, że zdjął nogę z pedału gazu, powodowany uczuciem dziwnego strachu. Uważnie spojrzął przed siebie, na szosę skręcającą za bazaltową skalną ścianą – była pusta i gładka, bez zarzutu. Gdy dotarł do zakrętu, bliski był paniki, chociaż nadal nie wiedział skąd może grozić mu niebezpieczeństwo.

Taranując przydrożne słupki nie rozumiał dlaczego jego ręce, trzymające kurczowo kierownicę, nie wykonują najoczywistszego ruchu – skrętu zgodnie z kierunkiem szosy. Spadał już w przepaść, gdy ogarnęła go absurdalna chęć ratunku poprzez zaciągnięcie spadochronowego sznurka, poprzez tą drobną czynność, którą w swoim życiu wykonywał wielokrotnie.

Ale tym razem był to lot bez spadochronu.

\*

Na podłogę upadła karta. Dwa walety pozostawały nadal we władzy Maszyny.

\*

Art Ladok śnił. Sny bywają zwierciadłem naszych pragnień i obaw równocześnie, i taki był właśnie sen Ladoka. Brał udział w amatorskich zawodach w skokach ze spadochronem. Realizm snu był zrozumiały ze względu na fakt, iż Ladok niejednokrotnie rzeczywiście uczestniczył w tego rodzaju sportowych zmaganiach.

Właśnie przeżywał moment swobodnego lotu, gdy jego żona obudziła się. Dopiero po chwili skonstatowała, że przyczyną jej nagłego powrotu do jawy są krzyki leżącego obok męża, wołającego z przerażeniem: „Zapomniałem spadochronu!”. Wyciągnęła

rękę pragnąc go przebudzić i przerwać tym samym koszmar, gdy nieoczekiwanie Ladok, porwany nagłym przyływem energii, zsunął się z łóżka.

We śnie rozbił się o skały, w rzeczywistości spadł na leżący przy łóżku chodnik.

W rzeczywistości atak serca pozbawił go życia.

\*

Na podłodze leżały trzy karty.

– Po co czwarta karta? – zapytał Siles Syndoman, nie spuszczać oczu z wiszącego w powietrzu waleta pik. Prawą dłoń trzymał w kieszeni marynarki, ściskając niewielki, podłużny przedmiot.

– To bezpiecznik przewidziany przez moich konstruktorów. Przychodzą tu ludzie szaleni, a szaleństwo potrafi niszczyć również Maszynę – odparła Maszyna i wymieniła sumę, którą Syndoman winien uiścić za usługę.

Syndoman zbladł, pojmując swoją głupotę, w której liczył, iż przechytry Maszynę. W kieszeni, zamiast pieniędzy, trzymał granat.

„Spokojnie, bez paniki” – uspokajał sam siebie. – „Pierwszą część planu masz za sobą, bądź konsekwentny. Musi się udać!”

Był bliski celu – usunął liczących się konkurentów i bez wątplenia ma największe szanse zwycięstwa w zawodach o tytuł mistrza świata w spadochronowych lotach akrobatycznych – ale ten cel wciąż ukrywał się za parawanem pieniądza. Marne-go pieniądza, którego za kilka dni, po wygranej, mógłby mieć ile zechce. Kilka dni! Lecz Maszyna nie czeka nigdy. Jej usługi są natychmiastowe i wdzięczność musi być natychmiastowa.

Teraz należy wydostać się spod władzy Maszyny. Istniał na to jeden tylko sposób: postępować zgodnie z wcześniej obmyślnym planem – zniszczenie Maszyny jest jedynym rozwiązaniem...

Syndoman wyszarpnął granat.

Reakcja Maszyny była sto trzydzieści siedem koma pięć razy szybsza od reakcji człowieka. Na podłogę spadł pikowy walet, ale tego Siles Syndoman nie mógł już zobaczyć.